

szonym, nie jest istotne. Zawsze można odmówić.

Nie słyszałem, aby ktokolwiek, kto firmuje swe dzieło, gdy doczekało się ono negatywnych recenzji, winą za to obarczył zespół redaktorski, a konkretnie adiustatorów. A nie wierzę, że pośród książek krytykowanych, są wyłącznie te „stworzone” bez udziału adiustatorów. Czyżby działał jednak wstyd związany z tym, że przyznałoby się wówczas do współautorstwa ze strony innych? (Pytanie to niech pozostanie retorycznym.) I to do współautorstwa, które być może zaszkodziło utworowi.

Sam pomysł na temat np. powieści, której samemu jednak się nie napisało, to nie współautorstwa. Liczą się bowiem użyte w tekście słowa i zdania, jak też relacje między nimi. To one budują opowieść, one i sprawność w snuć opowieści. Lecz pomysł, którego kreacją jest twórca, może bądź nie, wpłynąć na jego poczytność.

Podsumowując to, co powyżej napisałem, uważam, że ingerencja osób innych w tekst, jeśli już musiałoby do niej dojść, winna ograniczać się do zabiegów korektorskich. Natomiast wszelkie poważniejsze potknięcia – bez względu na to, przez kogo zauważone – winny być usuwane tylko i wyłącznie przez autorów. Wtedy i tylko wtedy poznalibyśmy ich rzeczywistą wartość, jako np. stylistów. A mówiąc bardzo konkretnie: najważniejszym rozwiązaniem byłoby odsyłanie autorom ich tekstów z zaznaczeniem, przez osoby odpowiadające w redakcjach za publikację utworów, zdań czy też fragmentów tekstu, wymagających, ich zdaniem, dokonania zmian. Nawet gdyby autorzy dokonali wszystkich sugerowanych poprawek, nikt nie mógłby twierdzić, że miało miejsce współuczestnictwo. Czym innym jest sugerowanie autorowi zmian i dokonanie ich przez niego, a czym innym poprawienie przez kogoś innego. Chodzi o to, aby to nie adiustatorzy doskonalili teksty/czynili je lepszymi (ich zdaniem), ale ci, którzy je napisali, i którzy firmują je swym nazwiskiem. Czas najwyższy, aby tak właśnie się działo. W przeciwnym razie nadal będziemy poruszali się w świecie, nie do końca autentycznych wielkości literackich. Można z dużą dozą pewności stwierdzić, że w przypadku wielu prozaików i poetów, bez względu na to, kiedy tworzyli, z takim właśnie światem mamy do czynienia.

W tym miejscu, odnośnie redagowania przez osoby drugie tekstów, przytoczę taki zapis Jacka Woźniakowskiego nawiązujący do poglądu Pseudo-Longinosa:

„Wielkość jest prawie nieodłączna od błędów (...); poprawnie piszą tylko twórcy mierni, którzy boją się ryzyka. Nie sposób zawsze przestrzegać norm, gdy «namietności pędzą jak potok górski»”.

(*Góry niewzruszone*)

Natomiast Alfonso Reyes stwierdził:

„Publikujemy, żeby nie strawić całego życia na poprawianiu brudnopisów”.

Dlaczego teksty poddaje się adiustacji, nie wspominając o korekcie, a nikomu nie przyjdzie do głowy dokonać swoistej adiustacji, choćby rodzaju korekty, w stosunku do np. obrazów olejnych przed ich dopuszczeniem na wystawę? Bez żadnego problemu mogę wyobrazić sobie kilku profesorów tej czy innej Akademii Sztuk Pięknych (też pomysł, aby artystów obdarzać tytułami naukowymi. Chyba, że są oni po prostu nauczycielami) zaopatrzonych w palety i przy użyciu pędzli nanoszących poprawki na obrazach. Dokonanie tych poprawek, ich zdaniem nieodzownych, byłoby warunkiem dopuszczenia prac do prezentacji organizowanych pod auspicjami tychże Akademii.

To, że w rzeczywistości nic takiego nie odbywa się, nie jest żadnym aktualnie obowiązującym w tej kwestii zwyczajem. Nigdy bowiem, od kiedy organizuje się wystawy – to znaczy przynajmniej od 1667 roku (zorganizowanie salonu artystycznego w Luwrze) – nie było inaczej. Pewne obrazy, co najwyżej, nie były udostępniane. Przykładem mogą być prestiżowe wystawy organizowane w latach 1863-1881 przez Salon Paryski kontrolowany przez Akademię. Początkowo nie dopuszczano na nie płócien impresjonistycznych. Natomiast prezentowane były one, ale nie tylko one, w Salonie Odrzuconych. Nie słyszałem jednak, aby komuś przyszło do głowy uzależniać dopuszczenie obrazów na ekspozycję od wprowadzenia konkretnych zmian. Czyżby artyści malarze charakteryzowali się posiadaniem, w tej kwestii, kręgosłupa moralnego? Nie, nawet tego nie sugeruję. Po prostu, kiedy osiągną oni pewien wiek – z reguły jest on współcześnie tożsamy z ukończeniem wyższej uczelni artystycznej – nie wywiera się na nich już nacisków; idą własną drogą. Natomiast na ludzi pióra, naciski, i to rozmaite, wywierane są przez cały czas trwania ich aktywności pisarskiej.

Nad pisarzami ludzie pędzla, rylca, dłuta mają tę przewagę, że właściwości ich profesji sprzyjają zachowaniu przez nich niezależności artystycznej; one, a nie cechujące ich, jakimś zrządzeniem losu, wyjątkowe cechy charakteru. Dlatego nie dokonają zmian (pomiędzy okresu studenckiego – traktuję go ulgowo w tym konkretnym przypadku), które mogłyby zaowocować przychylną opinią ze strony wpływowego np. krytyką bądź znalezieniem nabywcy. Rzecz w tym, że, przykładowo, obraz, choćby nie został zaakceptowany przez gremia opiniotwórcze, to istnieć będzie. Rzecz jasna w jednym egzemplarzu (reprodukcje są, oczywiście, czymś zupełnie innym). Może nie zyska uznania, nie okryje sławą swego autora (w przyszłości może to się zmienić), ale może zostanie przez kogoś kupiony. To znaczy: doceniony w sposób bardzo konkretny i w naszym świecie ceniony najbardziej.

Ale o ile istnienie dzieła sztuki w jednym egzemplarzu jest normą (wyjątkiem są np. grafiki), to istnienie książki w takiej liczbie,

tych już nie jest. I nie chce tego przede wszystkim sam autor (w przypadku pozycji mającej szansę na poczytność, jego „niechcenie” zostanie wsparte przez wydawcę). On wręcz pragnie, aby książki opatrzone jego nazwiskiem były wydawane w jak największej ilości egzemplarzy. Jeśli jest człowiekiem zamożnym, nie musi się na nikogo oglądać. Tak jest jednak rzadko w przypadku ludzi pióra. I to w znacznym stopniu sprawia, że w większości nie są tak hardzi, jak wspomniani artyści i biorą pod uwagę opinie wydawców i redaktorów czasopism.

Jeśli chodzi o mnie, to nie życzę sobie, aby ktoś dokonywał – za moimi plecami – zmian w tym, co napisałem. Gdyby takowe, w taki właśnie sposób, zostały w nim dokonane, w żadnym razie, nawet gdyby chodziło o niewielkie zmiany, nie mógłbym powiedzieć: on jest mój. Jeśli od początku mowa była o współautorstwie, byłaby to zupełnie inna sprawa – osobiście nie wyobrażam sobie jednak takiej współpracy. I mówiąc wprost – nie życzyłbym jej sobie. I to nie tylko dlatego, że jestem przywiązany do tego, co wyszło spod mego pióra. Chodzi także o sposób: zawsze przecież można zaproponować autorowi, o czym wcześniej wspominałem, dokonanie zmian. Jednak, gdy warunkiem druku jest dokonanie poprawek – i ma to postać jednoznacznie ultimatywnej – zabieram z przyszłowiowej piaskownicy moje zabawki.

W tym miejscu, mając na uwadze to, co poruszyłem powyżej, chciałbym zwrócić się do adiustatorów z takim oto apelem: jeżeli życie przekonanie, że posiadane przez was umiejętności predestynują was do wprowadzania istotnych zmian w adiustowanym, ale nie swego autorstwa tekście, lepiej zaprezentujcie swe umiejętności pisząc. I to niekoniecznie na taki sam bądź zbliżony temat. Łątwiej jest bowiem cudze doskonalic, niż samemu coś stworzyć. Na ten właśnie temat Seamus Heaney w *Zawierzyć poezji. Wykładzie z okazji przyjęcia literackiej Nagrody Nobla* napisał tak:

„Ezra Pound przestrzegał, by w sprawach literackich nie przejmować się opinią tych, którzy sami nie stworzyli wybitnego dzieła”.

Ale esej ten zakończę cytatem z Oskara Wilde’a, który zapytany jak spędził dzień, odpowiedział:

„Pracowałem cały ranek nad korektą jednego z moich poematów i usunąłem przecinek. Po południu wstawiłem go z powrotem”.

Dariusz Pawlicki

